

Nr. 14. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci, Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci. 15. Lipca.

Samuel Bogumił Linde.

Niedawno czytałyście, kochane dzieci, żywot Józefa Maxymiljana hr. Ossolińskiego, a z niego dowiedziałyście się o uczonym Lindem, który był bibljotekarzem u tegoż znakomitego męża. Ponieważ był to także mąż wielkiej nauki i zasług, a razem i przyjaciel Ossolińskiego, przeto pokrótce opowiemy wam jego tu życie.

Rodzina Lindego pochodziła z Szwecji, a przeniosłszy się z Dalekarlji, osiedliła się w Polsce. Samuel Linde urodził się w Toruniu dnia 24. kwietnia 1771 r. z rodziców wyzna-

nia ewangielickiego. Ojciec jego, ubogi artysta, wcześnie go odumarł, została więc sama matka z kilkorgiem dzieci w wielkim niedostatku. Z dzieci dorośli tylko dwaj synowie: starszy Jan, później pastor przy kościele św. Ducha w Gdańsku i młodszy Samuel, który chodził do szkół gimnazjalnych w Toruniu. Walczył on nieraz z największą nędzą, lecz żelazna wytrwałość i chęć do nauki tłumiły w nim głód, osładzały mu przykre chwile, a Opatrzność, która nigdy o dobrych nie zapomina, sprawiła iż mały Samuel ucząc dzieci piekarza, na mizerne przynajmniej zarobić sobie mógł utrzymanie.

Skończywszy w rodzinnem mieście szkoły gimnazjalne, przy pomocy otrzymanej od brata, w 1789 roku udał się do uniwersytetu lipskiego, licząc wówczas lat ośmnaście i wedle życzeń brata poświęcał się nauce teologji, do której najwięcej czuł w sobie pociągu.

Pomimo zasiłków od zacnego brata i magistratu Toruńskiego, utrzymanie Samuela nader było niedostateczne, musiał tedy w wolnych chwilach trudnić się udzielaniem lekcji, co mu wiele czasu zabierało, lubo z przyjemnością się temu oddawał.

W trzecim roku pobytu jego na uniwersytecie oświadczył się Lindemu sławny profesor języków orjentalnych, Dathe, z gotowością ofiarowania mu bezpłatnego umieszczenia w swym domu, pod tym wszakże warunkiem ażeby się wyłącznie oddał literaturze i językom wschodnim.

Linde miał już przystać na to, ale przypadkiem inaczej się stało.

Inny profesor akademicki, August Wilhelm Ernesti, który z prawdziwie ojcowską pieczołowitością opiekował się młodzieżą, zszedł się właśnie w owym czasie z Lindem, i ku największemu jego zdziwieniu oznajmia iż przed kilku tygodniami napisał list do Drezna w celu wyjednania dla niego katedry języka i literatury polskiej w uniwersytecie lipskim.

Jakkolwiek ucieszył się z tego Linde, oświadczył jednak skromnie, że językiem polskim nie dobrze włada i tylko

z potocznego w Toruniu używania takowy umiejąc, musiałby się go od pierwszych uczyć początków — na co usłyszał od znakomitego męża te słowa:

Der Knabe sehr viel lernen muss
Eh' aus Ihm wird ein Dominus.

Co na polskie w ten sposób przełożyć by można:

Wiele się chłopię natrudzi
Nim z żaka wyjdzie na ludzi.

Dathe dowiedziawszy się o tem, nie gniewał się zupełnie i owszem zgodził się na życzenie Ernestego, mówiąc:

— Mało kto poświęca się językom wschodnim, ale mniej widzę jeszcze dbających o słowiańszczyznę, a nam chodzi o to aby żadna niwa naukowa nie stała odłogiem.

Linde wziął się wtedy do gramatyki polskiej, do słowników i do czytania książek w języku polskim napisanych, i pracował tak wytrwale, że otrzymawszy nie za długo mianowanie na profesora katedry polskiej w Lipsku, rozpoczął wykłady publiczne, złożył egzamin i osiągnął stopień doktora filozofji.

Szczęśliwym trafem dostał dziełko pod tytułem: Powrót Posła Niemcewicza, zajął się zaraz jego tłómaczeniem i w tym to czasie poznał się z znakomitym autorem tego utworu. Przez niego wprowadzony do najznakomitszych domów polskich, poznał wielu znakomitych Polaków a pomiędzy nimi Tadeusza Kościuszkę. Żył więc odtąd z Polakami jak w Polsce i dla niej pracował.

Korzystał z każdej sposobności, kształcił się w języku polskim, obeznawał z literaturą; z Niemcewiczem odczytywał przekład Powrotu Posła, który przez publiczność niemiecką po wydrukowaniu zaszczytnie był przyjęty. Linde poznawszy gruntownie budowę języka polskiego, cieszył się niewymownie iż przez obcowanie daleko większy zrobił postęp, niżeli

się go mógł spodziewać przy największej gorliwości ze studjowania gramatyk polskich.

W 1794 r. pojechał do Warszawy, gdzie zapoznał się z słynnym gramatykiem polskim, x. Kopczyńskim, którego od dawna poznać pragnął.

Później za wpływem Ignacego Potockiego dostał się Linde do Wiednia i tu u Józefa Ossolińskiego przyjął posadę bibljotekarza.

Bibljoteka natenczas nie bardzo była liczna, owoż z polecenia Ossolińskiego, który z szczególnym zapałem starał się o wzrost literatury polskiej, jeździł Linde od miasteczka do miasteczka, od klasztoru do klasztoru, skrzętnie przeglądał wszystkie bibljoteki, zakupował rękopisy, wyszukiwał stare kurzem zasute zabytki, robił spisy i wyciągi i w tym to celu siedm razy przejechał całą Polskę.

Niewyspany, głodny i deszczem nieraz przemoczony, nocami podróżował gorliwy Linde, aby tylko coraz więcej przejrzeć książnic, pozyskać dzieł szacownych dla pomnożenia skarbnicy, z której do dzisiaj czerpie naród obfite bogactwa światła i nauki.

W czasie podróży donosił Linde Ossolińskiemu dokąd się udaje i jakie zdarzyło mu się w drodze nabyć dzieła, a listy jego okraszone były częstokroć dowcipem. Kilka zaledwie z nich dochowano i to nie w całości; reszta uległa zniszczeniu.

Kiedy Linde przy Ossolińskim zostawał w Wiedniu, spędzał z nim wieczory na pogadankach literackich, porządkował dzieła w bibljotece, robił wypisy, i nakoniec zagrzany przez Ossolińskiego, rozpoczął olbrzymie dzieło: Słownik języka polskiego — do czego mu także wiele światłych uwag udzielił książę Adam Czartoryski.

Najuczeńsi i najrozumniejsi rodacy wspierali Lindego w jego chlubnem przedsięwzięciu, równie jak i uczeni zagraniczni, z którymi zawarł stosunki.

Po dziesięciu latach pobytu u Ossolińskiego, rząd pruski zakładając nowe liceum, zawezwał Lindego na rektora do Warszawy.

Długo wahał się rozłączyć z Ossolińskim, który silnie przywykł do niego i lubo miał u niego zabezpieczoną posadę, przyjął wezwanie rządu pruskiego, gdyż Ossoliński oświadczył mu że jako rektor głównej w kraju szkoły więcej zasłużyć się może ojczyźnie.

Linde w 1803 r. pojechał tedy do Warszawy i lubo rząd pruski nie był przychylny narodowości polskiej, dokazał tyle iż przełożeni instytutu składali się z samych gorliwych Polaków.

W 1806 roku rozpoczął Linde druk swojego słownika, lecz klęski krajowe przeszkodziły mu. Linde drukarnię i drukarzów umieścił we własnem mieszkaniu; niebawem wkroczyli Francuzi do Warszawy, druk więc z braku czeladzi i funduszów znowu był przerwany, tak że dopiero po wielkich wysileniach w 1814 roku tom szósty i ostatni mógł być ukończony.

Natenczas Towarzystwo Przyjaciół Nauk Warszawskie wyprawiło ucztę, na której naprzeciw autora wznosił się jego słownik wawrzynami uwieńczony, a Kazimierz Brodziński wygłosił wiersz na cześć pomyślnego tegoż ukończenia, poczem namiestnik królestwa Polskiego, Józef Zajączek, wręczył Lindemu w imieniu narodu wielki medal złoty z napisem: Za słownik polskiego języka, ziomkowie 1816 r.

Od czasu ukazania się na światło publiczne tego olbrzymiego dzieła sława Lindego rozeszła się szeroko w kraju i za granicą. Linde coraz wyższe piastował godności, został mianowany eforem t. j. naczelnikiem zakładów szkolnych, później członkiem Izby edukacyjnej, następnie jej dyrektorem, członkiem Rady nadzorczej szkoły prawa, a po utworzeniu kongresowego królestwa Polskiego pod panowaniem rosyjskiego cesarza Aleksandra został mianowany rektorem świeżo zało-

żonego uniwersytetu, w krórym to czasie z niezrównaną gorliwością powiększał bibljotekę i muzea. Był on członkiem wielu akademji zagranicznych i Towarzystw naukowych, gdyż każde z nich poczytywało sobie za zaszczyt posiadać Lindego w swojem gronie, to też i akademja cesarska w Petersburgu przysłała mu dyplom honorowy, którego jeszcze żaden przed nim nie otrzymał cudzoziemiec.

O Ossolińskim nie zapomniał on nigdy. Pisywał do niego listy pełne najtkliwszych wyrurzeń, przyjaźni i nawzajem takie odbierał.

Oto jak się Ossoliński wyraża w jednym z listów do brata Lindego pisanym:

„On się dla mnie ani za oddaleniem miejsca, ani za przeciągiem czasu nie odmieni; ja zawsze dla niego będę jednakim... Co mi mojego Lindego szacownym czyniło, poczciwość w gruncie serca jego zaszczepiona, umiejętność i pracowitość, to wszędzie zaleci i otworzy mu pomyślne powodzenie.“

Na innem miejscu pisze on do samego Lindego:

„Wdzięczny ci jestem twego serca, twojej pamięci. Bądź pewny że zawsze cię szacowałem i kochałem, i że ani ty, ani twoi, nigdy mi nie będziecie obojętnymi; nawzajem proszę cię o stateczne do mnie przywiązanie... Zgoła mój poczciwy Linde! prawdziwie ci dobrze życzę.“

Takto umiano uczcić uczoność, zacność i pracowitość Lindego, a w 1842 roku uroczysty odbyto w Warszawie festyn na uczczenie pięćdziesięcioletnej rocznicy otrzymania przezeń stopnia doktora filozofji.

W póżnym już wieku rozpoczął nadzwyczaj mozolną pracę — zamierzył napisać słownik porównawczy wszystkich narzeczy słowiańskich. Śmierć nie dała mu dokończyć zamierzonego tego olbrzymiego dzieła. Pozostały tylko w papierach jego przygotowane po części materjały, obejmujące około 600 arkuszów rozmaitych wypisów i notat. Pozostawił także w

rękopisie Bibljografję polską w 22 tomach. Można ztąd wziąść miarę ogromu pracowitości i żelaznej wytrwałości Lindego. Największem jednak dziełem jego, które mu nieśmiertelną sławę przyniosło, jest ów Słownik języka polskiego w sześciu ogromnych tomach, za który złoty medal otrzymał.

W domowem pożyciu okazywał się Linde zawsze łagodnym, wesołym; lubiał bardzo kwiaty; chętnie opowiadał dzieciom ciekawe wspomnienia swojego życia, a po dziennej pracy, która trwała od godziny 6 z rana do 4 po południu, chodził z niemi na przechadzkę.

Sędziwym już będąc starcem umarł dnia 8. sierpnia 1847 roku. Pochowano go wedle życzenia w czarnej trumnie z bibliją w ręku, ponieważ do żyjących dotąd jeszcze powiedział córek:

— Ona była za życia mojem najwyższem prawem, niech będzie największą ozdobą po śmierci!

Żałowali go wszyscy tak serdecznie jak go kochali za życia a imie jego pozostanie na zawsze zapisane w dziejach piśmiennictwa polskiego. *J. z B.*

M i n i o.

— Na co Minio muszki łowi?
Przestań Minio! Tatko powie;
Ale Minio nic nie pyta —
Tylko ciągle muszki chwyta.

Rzecze Tatko: — Weź książeczkę
I przeczytaj w niej bajeczkę;
Nie chwytaj już więcej muszek —
Za to pięknych dam ci gruszek.

Tatko odszedł — Minio swoje —
Aż spędzając muszek roje
Po stoliku i kanapie,
Zamiast muchy — osę złapie.

Wówczas chłopiec niegodziwy
Wydał z bolu krzyk straszliwy!
Biegną słudzy, Tatko wpada,
I do Minia tak powiada:

— Wszak pragnąłeś much zagłady,
Nie słuchałeś mojej rady,
Teraz spuchnie ci paluszek,
Nie dostaniesz także gruszek.

PETYHORCE.

Znacie już z dawniejszego opisu hussarzy, kopijników. Była to ciężka jazda. Oprócz nich miało wojsko polskie także jazdę lekką, półkopijników, zwanych petyhorcami. Takiego petyhorca przedstawia załączona rycina.

Strój i uzbrojenie petyhorców, jako lekkiej jazdy był lekszym od ciężkiego uzbrojenia hussarzy. Mieli oni szablę krzywą, łuk ze strzałami, czasami strzelbę długą, lub kopję czterołokciową z proporcem — na głowie misiurkę, od której spuszczona siatka zakrywała część głowy, kark, ramiona i plecy — lub też jak na rycinie, czapkę futrzaną czerkieską.

Podczas kiedy hussarze uderzając z wielkim impetem ściśniętemi hufcami na nieprzyjaciela, straszną zwykle zadawali mu klęskę, tak że natarciu ich nic się oprzeć nie zdołało —



PETYHORZEC

z czasów Zygmunta III.

rącze chorągwie petyhorców szybkością swą i zwinnością również były groźnemi dla nieprzyjaciela i równie wielkie zadawały mu straty.

GOSPODARSTWO.

Roboty w polu, czynności gospodarskie w oborze, w sadzie, w pasiece itp. zajmują waszą uwagę; dopraszacie się aby wam pozwalano być świadkami tego wszystkiego i z zajęciem przypatrujecie się podobnym zatrudnieniom. To dowodzi że gospodarstwo wiejskie, przedmiot tak ważny dla was jako przyszłych gospodarzy, nie jest wam obojętny. Zamiłowanie do gospodarstwa wiejskiego, jakie przeto okazujecie, jest w was bardzo chwalebnem, bo słuszna jest aby człowiek wcześnie obznajomił się z tem, co kiedyś ma być głównem jego zatrudnieniem. Rodzicom waszym miło jest odpowiadać na zapytania wasze w przedmiocie gospodarstwa wiejskiego i cieszy ich wasza ciekawość w tym względzie. Ale gospodarstwo wiejskie jest przedmiotem trudnym, i aby je dobrze umieć długo trzeba się go uczyć i z książek i przez doświadczenie, co długiego czasu i pracy wymaga. Aby ułatwić wam tę naukę w przyszłości zamierzamy dać wam poznać w ogólnych przynajmniej zarysach główne zasady i prawidła gospodarstwa wiejskiego.

Rolnik, którego zadaniem i głównym środkiem utrzymania jest uprawa ziemi, winien przedewszystkiem poznać tę ziemię którą ma uprawiać. Położenie, klimat, zmiany atmosferyczne, natura gleby słońce, wilgoć, wiatry, wszystko to wywiera wpływ stanowczy na urodzajność ziemi, a dobry gospodarz musi gruntownie zapoznać się ze skutkami, jakie wpływy te na jego glebę wywierają i według tego w uprawie ziemi się stosować.

Im bardziej te części ziemi, które zamieszkujemy, zbliżą się do promieni słonecznych, i im bardziej księżyc zbliży się

do ziemi, tem silniejszym jest wpływ słońca i księżyca na ziemię.

W zimie, gdy promienie słoneczne nie mogą ogrzewać naszej części ziemi, wszystkie rośliny przestają zielenić się i rosnąć, liść opada, i mówimy wtedy że przyroda obumiera.

Wyziewy powstające z ziemi ścinają się w powietrzu, zamiast rosy i deszczu pada śnieg i pokrywa wszystko białą oponą.

Im bardziej jednak przez ciągły obrót ziemi około słońca, ta część jej, którą zamieszkujemy, przybliży się do promieni słonecznych, tem bardziej daje się uczuwać ich wpływ, i tem widoczniejszem staje się przebudzenie przyrody z snu zimowego.

Śnieg zaczyna topnieć, ziemia zmarznięta rozgrzewa się, wychodzą z niej w postaci mgły pierwiastki tamujące roślinność; przez siłę przyciągającą promieni słonecznych mgła unosi się w powietrze i zamienia w chmury; z których potem spada na ziemię orzeźwiająca rosa, lub ciepły orzeźwiający deszcz.

Im bardziej pierwsze promienie wschodzącego słońca, w miarę wznoszenia się tegoż, mogą wywierać na pewną przestrzeń ziemi swój wpływ dobroczynny, tem szybciej i silniej rozwija się siła kiełkowania, i tem bardziej można się spodziewać że zbiory będą pomyślne. Im zaś później ten wpływ następuje, lub też promienie zaczynają działać nagle w porze południowej z coraz większą, lub pod wieczór z coraz mniejszą siłą, tem słabiej odbywa się kiełkowanie i wzrost.

Ponieważ położenie słońca na widokręgu, i wpływ tegoż na ziemię zmienia się nieustannie w ciągu jednego i tego samego dnia, przeto też i okolice, w których pokazuje się rano, w południe i wieczorem, mają osobne nazwiska według tego gdzie słońce znajduje się z rana, w południe, wieczór i o północy. Strona w której słońce wschodzi, nazywa się

wschodem, a ta w której pokazuje się w południe, południem; mając przed sobą wschód, mamy za sobą zachód, a wyciągnąwszy prawą rękę ku południowi, wyciągnięta lewa wskaże nam północ.

Dla rolnika nie jest wcale obojętną rzeczą w której stronie leżą jego grunta, ponieważ jak to już powiedzieliśmy słońce samo, pominąwszy inne wpływy atmosferyczne, wywiera rozmaite skutki na roślinność i wzrost.

Inne zjawiska atmosferyczne, które oprócz słońca wywierają wpływ na wegetację, są: wiatr, posucha, mróz i śnieg.

Grunta położone na wschód są najlepsze, ponieważ na nie słońce działa najprzód, najdłużej i stopniowo. Grunta na wschód położone najmniej także zwykle doznają szkód od wiatru, mrozów i śniegu.

Gorsze od tych, ale zarazem lepsze od innych, są grunta położone na południe. Grunta zwrócone na zachód bywają najczęściej narażone na grad, burze, i wiatr; śnieg zaś tu bardzo późno topnieje. Najgorsze jednak pod tym względem są grunta położone na północ.

Nie podlega wątpliwości że pilnością, usilnością i odpowiednem postępowaniem z rolą, którą mamy uprawić, można wiele przyczynić się do jej polepszenia, ale i to pewna że bywają grunta tak nieszczęśliwie położone, iż żadnym zgoła środkiem nie można ich uczynić o wiele lepszemi.

Największy wpływ na roślinność wywiera klimat, i miejscowe położenię roli.

Klimat jestto właściwy każdemu krajowi zwykły stan ciepła i zimna, suszy i wilgoci w rozmaitych porach roku.

Nie jest też obojętną rzeczą dla rolnika czy grunta, które ma uprawiać, leżą w okolicy bardzo zaludnionej, czy ta okolica ma wiele wsi, miasteczek lub miast, czy są w pobliżu

rzeki czy bagnami jest otoczona, lub przerznięta górami, albo lasami.

Wszystkie te okoliczności wywierają większy lub mniejszy wpływ na wegetację. Znaczna ilość wyziewów zwierzęcych w pobliżu miast jest korzystną dla roślinności; lasy, tudzież wysokie góry, położone ku południowi, dają wielki cień, zasłaniają grunta od ciepłych wiatrów, a tem samem sprawiają zimno. Wyziewy z wielkich gór i bagien także oziębiają klimat.

Co się tyczy położenia miejscowego, to jest czy ziemia jest równa, pagórkowata, położona spadzisto lub górzysto, uważać należy że w równinach najlepsza jest ziemia sucha, a w okolicach pagórkowatych glinkowata, ponieważ zbyteczna ilość wilgoci najłatwiej odchodzi z pagórków, i powietrze także najwięcej może tu wpływać na osuszenie gruntów — Położenie spadziste dla tego nie jest korzystne, gdyż deszcze ulewne częstokroć spłukują przedwcześnie to wszystko, co rolnik spodziewał się zebrać.

Małe powiastki.

NAMOWA.

Antoś bardzo dobre miał serce, wszyscy go kochali, a Stasiem każdy gardził, bo to wielki był ladaco.

Antoś nie miał towarzysza, musiał się czasem bawić ze Stasiem, gdy mu mama pozwoliła.

Razu pewnego, kiedy się przypadkiem zeszli na podwórzu, powiada Staś do Antosia:

— Nie wiem coby tu zrobić aby mieć cukierki, a wielki mię na nie zbiera apetyt.

— Idź do twojej mamy -- odpowie Antoś — pocałuj jej rączkę, proś grzecznie, a niezawodnie dostaniesz na cukierki

— Ej, ja tak zrobić nie mogę — odrzekł Staś — musisz mię ty wyręczyć, luby Antosiu! Udaj się do mamy i powiedz że tu stoi ubogi dziadek, to mama da zaraz grosz dla niego.

Antoś usłuchał niedobrego Stasia i nie zważając że źle robi, całując mamy rękę, prosi o krajcar, mówiąc że na dole przy wschodach stoi dziadek i prosi o jałmużnę.

Mama sądząc że Antoś mówi prawdę, dała mu krajcar, poczem zaraz wyszedł niby dać dziadkowi, a tymczasem oddał go Stasiowi.

— Za krajcar mało dostaniemy cukierków — powie Staś — idź tedy jeszcze raz do twojej mamy i powiedz że przyszedł znowu drugi dziadek, ale ten jest bardzo biedny, to mama z pewnością więcej da dla niego.

Z namowy Stasia poszedł Antoś do mamy i powiedział jak go ów ladaco nauczył. I tym razem uwierzyła mama, dała Antosiowi dwa krajcary, które toż samo wyszedł dać zmyślonemu dziadkowi.

Odebrawszy Staś pieniądze od Antosia, ucieszył się niezmiernie i powiada do niego:

— Po szkole pójdę do sklepu, kupię cukierków, a jak przyniosę będziemy je jeść w ogrodowej altanie.

Antoś z pewnem niedowierzaniem opuścił Stasia i od tej chwili w owym dniu nie obaczył go już więcej.

Wieczorem, kiedy się miał zabierać do modlitwy przed spaniem, sumienie zaczęło go niepokoić, idzie tedy do mamy i ze łzami w oczach mówi:

— Przebacz mi kochana mamo, bo dzisiaj nieładnie skłamałem z namowy Stasia. Pieniądze, które dostałem, nie były dla dziadka, lecz dla Stasia, który miał za nie kupić cukierków i ze mną się podzielić. Ja podobnej plamy pozostawić na sobie nie mogę, więc przed spoczynkiem proszę o przebaczenie.

Ucieszyła się mama szczerem zeznaniem i skruchą Stasia i powiedziała:

— Lubo postępkiem twoim zasłużyłeś sobie na naganę, ja ci przebaczam drogi Antosiu, ponieważ sam przyznałeś się do winy, z czego poznaję że zawsze czyste chcesz mieć sumienie.

Nazajutrz niepoczciwy Staś otrzymał karę od swojej mamy, nie dostał obiadu, który dano dziadkowi, co właśnie w tej porze przyszedł po jałmużnę. Zakazano mu odtąd także bawić się z Antosiem.

Nie słuchajcie namowy niedobrych dzieci i pamiętajcie że największem szczęściem jest spokojność sumienia.

POLDZIO WSZĘDOWŁAZUS.

Nie było miejsca, do któregoby nie zajrzał Poldzio — nic się nie ukryło przed jego okiem. Jak wiewiórka spinał się po drzewach, chodził po wałach i urwiskach; dzięki tylko Opatrzności że nie spadł i nie złamał nogi.

Nie było tygodnia żeby na czole nie miał guza, a wszystkie jego suknie mnóstwo plam miały na sobie. Wszędzie go też Wszędowłazusem nazywano.

Napominał go ojciec, napominała go mama, ciocia i nauczyciel, ale Poldzio na nic nie zważał, zawsze robił swoje.

Idąc razu pewnego rynkiem w dzień targowy obaczył kilka wiązek siana, na których wzdłuż leżała długa deska. Poldzio myśląc że znowu dla niego nowa będzie zabawka, wyszedł na wierzch a wtem wysuwa się jedna wiązka, nachyla się deska i Poldzio z wielkim zamachem spadając na ziemię, nosem uderza o kamień, a do ręki, którą się chciał podeprzeć, wbił sobie długi gwóźdź w desce się znajdujący.

— O! ratujcie mię kochani ludzie! — wołał z wielkiego bolu, a krew strumieniem lała mu się po twarzy.

Zaniesiono go do domu rodziców, gdzie go długo obmywano wodą — a rękę owinięto płóciennemi szmatami.

Długo nie mógł się wyleczyć z rany odniesionej, dużo się nacierpiał, a od czasu, kiedy zupełnie wyzdrowiał, odmienił się ku zdziwieniu wszystkich i nigdy mu się nie zachciało nieroztropnych figlów.

Kiedy go brała chętka zrobić coś niedorzecznego, wspominał sobie cierpienia, których doświadczył i nie wychodził z pokoju.

Chociaż się jednak odmienił, nazwa **Wszędowłazus** pozostała mu na długie czasy.

Pamiętajcie moje dziatki,
Zawsze słuchać ojca, matki;
Lepiej przyjąć napomnienie
Niż mieć przykre doświadczenie.

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a. Z przesyłką pocztową rocznie 5 Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 cnt. w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda. Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna **Aniela Zawadzka.** Drukiem K. Pillera 1864.